

Przeгляд
kulturalny

W NUMERZE:

WITOLL ZALEWSKI — Wieczory u pionierów
JADWIGA SIEKIERKA — Lenin w oczach współczesnych
IWAN FRANKO — Kamieniarze
ADOLF CIBOROWSKI — O zwartości miasta
JÓZEF ŁOWIŃSKI — Stara Kruca i nowy Plac
ANDRZEJ WRÓBLEWSKI — Spojrzenie za fasadę cyfr
ARMAND VETULANI — Plastyka i opinia publiczna
JERZY BROSKIEWICZ — Paryskie odkrycia (III)
BOLESŁAW MICHAŁEK — W sprawie podstawy
JERZY GIŻYCKI — Casus „Niedaleko Warszawy“

Dzień dzisiejszy rewolucji

STEFAN TREUGUTT

Korespondencja
z Leningradu

Morze Bałtyckie nie chlubi się lazurą, przejrzystością. Przez większość roku ma odcień zielonawostawowy. Mówiąc po prostu, bez ozdób: szaro - brudny. W październikowy chmurny dzień trudno na Finskim Zalewie patrzeć linią horyzontu. Pomieściłachta wody traci się w mglistym galimatiasie chmur, dymów, zatartych konturów. Z jednej strony wystają jak gąbki wprost z ruchliwej masy fal dźwigi, komin, buaynki — z drugiej odróżnia się coś, co ma być wyspą. To Leningrad i Kronstadt. Ostro wiatr ciągnie stąd nad miasto, podnosi Newę; do centrum dochodzi zimny, surowy oddech morza.

Jezeli w takie październikowe popołudnie wyjdziemy na długi wielokilometrowy spacer, uderzy nas jeszcze silniej to, co opanowało wyobraźnię już przy pierwszym zetknięciu z tym niezwykłym miastem: jego monumentalne piękno, jakaś specjalnego rodzaju powaga.

Most Pałacowy w Leningradzie stoi w samym centrum miasta. Wejdzmy na jego lekko podniesiony w górę łuk. Jesteśmy w gęszczu historycznych wspomnień. Na lewo, za nami, sławna złota iglica gmachu Admiralicji, dalej kopuła Isaakowskiego Soboru, na nadbrzeżu zaś, wśród drzew parku, „jeździec miedziany” — Falconetowski posąg Piotra I. Założenie parkowe wokół pomnika to dawny Plac Senacki, obecnie, na pamiątkę 15 grudnia 1825 roku, Plac Dekabrystów. W prawo od mostu, po tej samej stronie Newy, stoi zielono-biała ściana Pałacu Zimowego; za nim ciągnie linia gmachów, jeszcze dalej widać park przy Pałacu Letnim. Tam Karakazow strzelał do Aleksandra II. Przed nami, u wylotu mostu, po drugiej stronie rzeki, gmach dawnej giełdy, stare latarnie morskie, portowe centrum miasta z XVIII wieku. W prawo, po tej samej stronie, za odnogą Newy, sterczą z wody piaskowego koloru mury, zwieńczone imponującą iglicą. To twierdza Pietropawłowska. Skupiała się tu najstarsza część miasta. W bastionach twierdzy był więziony po klęsce maciejewickiej Kościuszko, stamtąd prowadzono na straconie i na Sybir dekabrystów, tam w ciągu dwóch stuleci więzienie stanu pożerało najsłabniejszych synów Rosji i ludów uciśnianych przez carat. Za piaskowymi bastionami twierdzy, za Pietropawłowskiego nadbrzeża wystają trzy smukłe komin, ledwie odcina się od szerokiej perspektywy morskiej niebieskoszara sylweta okrętu wojennego. Tam zakotwiczone na stałe okręt-muzeum „Aurora”.

Z mostu Pałacowego widzi się dziesiątki innych jeszcze obiektów historycznych, związanych z wydarzeniami przeszłości, cennych ja-

ko dzieła sztuki. Widzi się więcej: w wielkiej syntezie mamy przed sobą istotę tego niezwykłego miasta, jego przeszłość i teraźniejszość.

Wielka myśl mądrego władcy nakreśliła niegdyś wśród błot plan miasta, okno na morze, okno ku przyszłości. Praca pokoleń zamknęła Newę w granit, dźwignęła przepiękne gmachy, stworzyła stolicę, jakie słusznie zwaną „Palmira północy”. Na każdym kroku widzisz tu pomniki rozumnej i świadomej woli ludzkiej. Tu właśnie, i nie przypadkiem tu, w mrocznym gmachu carskiego więzienia zagorzała iskra wolności. Od Radziezczewa i dekabrystów, po Czernyszewskiego i bohaterów Narodnej Woli, najlepsze umysły i najgorętsze serca starej Rosji szukały dróg do ludu, uczyły patriotyzmu, walczyły z despotyzmem. Iluż męczeński szlak zaczynało właśnie tu, w bramie twierdzy Pietropawłowskiej. Szli nim obok bohaterów naszej wolności za sprawę tak samo swoją, jak i naszą.

Teraz zza bastionu dawnego więzienia stanu dostrzegasz trzy niebieskoszare komin, „Aurora”. Oglądasz działo pokładowe, które pierwsze dało ognia na Zimowy.

Krajoznik wygląda jakoś skromnie, żenująco niki na szerokim nurcie Newy, na tle kilometrami ciągnącej się pałacowej zabudowy nadbrzeżnej. Przypomina stare fotografie okrętów z pierwszej wojny; proste, niepochlone, cienkie komin, pionowo a nie pod kątem spadający w wodę dziób. Bardzo natomiast imponująca jest sala w dawnym pałacu cesarskim, Zimowym, w której obradował rząd tymczasowy Kiereńskiego w historyczne dni Wielkiego Października. Kapie od złota. Tak samo wspinały się złoczone drzwi, którymi uciekał adwokat-premier.

To było 37 lat temu. Skromny jest gabinet w Smolnym, skąd Włodzimierz Lenin kierował sztabem rewolucji. Rozumiesz już, że to nie uczucie zażenowania, nie zdziwienie, lecz gorące wzruszenie ogarnęło cię na widok wstrząsającego skromnych świadectw tamtych dni. Wzruszenie bardzo osobiste docierające do każdego — dotykające przeżycie historii. Czy rzeczywiście historia?

Gdy stałem z kilku kolegami na nadbrzeżu obok zakotwiczonej „Aurory” do marynarza wartownika na trapie podeszła matka z dwójkiem dzieci. Była siostra po południu, a zwiadać można krajoznik każdej niedzieli tylko do piątej. Matka prosiła marynarza, by zaprowadził dzieci chociażby do burty, niechby tylko ręką dotknęły „Aurory”. Rocznicą Października nie jest tu zwykłą rocznicą historyczną.

Spojrzenie z mostu Pałacowego w

dół Newy: białe, szare, czarne dymy, komin, dźwigi, kilometry portowych nadbrzeży. Port pracuje. Gdy zbliżasz się do Leningradu, na długo przed wejściem na dworzec jedziesz wzdłuż ogromnych łańcuchów zabudowań przemysłowych. Stare klasyczne miasto wita cię tysiącami kominów fabrycznych. Ruszyły od dawna zakłady zniszczone przez wojnę, budują się setki nowych, w dół szos podmiejskich pełną nowe dzielnice mieszkaniowe. Druga stolica Kraju Rad pracuje setkami fabryk, setkami średnich i wyższych szkół.

Półtora roku temu jedna z zachodnio-europejskich agencji pra-

sowych przeprowadziła wywiad z nie byle jakim „specem” od spraw radzieckich, z samym Kiereńskim. Owa historyczna już karykatura powiedziała wówczas między innymi, iż jego zdaniem władza radziecka w Rosji jednak się utrzyma. Nie zupełnie słuszne. Władza radziecka nie „utrzymuje” się, lecz krzepnie z każdym rokiem twórczej pokojowej pracy. Wraza tak w ziemi, że już nie odróżnisz historii Października od dnia dzisiejszego. Przecież ci sami ludzie, którzy strzelali do Pałacu Zimowego, w 1919 bronili kolebki rewolucji od interwentów. Ci sami ludzie roznieśli czerwony płomień wolno-

ści po najdalszych krańcach Rosji, ci sami ludzie ginęli na wszystkich frontach wojny domowej, ci sami w 1941 zagroziłi drogę hitlerowskiemu faszystom.

To nic, że nosili inne imiona. To oni znowu, po wojnie, odbudowali swe miasto, odgrzeźbali z ziemi starannie ukrywane przed bombardowaniem pomniki, a teraz budują nowe dzielnice mieszkaniowe, fabryki, szkoły, parki kultury.

Stoję na moście Pałacowym i patrzę na spokojne, majestatyczne miasto. Październikowy morski wiatr podnosi Newę szorskim, ostrym oddechem, owiewa stary

i nowy Leningrad. Wiem, że to patos. Uczyli, że trzeba się go strzeżeć. Ale nie można bez wzruszenia, bardzo jakoś bliskiego patosowi, patrzeć na miasto Mickiewicza i Puszkina, na miasto Czernyszewskiego i Żelabowa, na miasto noszące imię wielkiego Lenina. I chyba nie trzeba się tego wstydząć ani wystrzegać. Leningrad podbija jakąś swoistą powagę. To patos wielkiej, heroicznej często historii — bijący poprzez rytm życia dzisiejszego. Naszego już życia.

Zaczęło się w październiku 1917. „Aurora” stała wówczas gdzie indziej, tam za drugim mostem na lewo, o kilometr mniej więcej stąd.



Scena z filmu „CZŁOWIEK Z KARABINEM“

PAŹDZIERNIKOWA REWOLUCJA
i wzrost kultury narodów ZSRR

M. WISIŃSKI (Moskwa)

Artykuł napisany dla „Przełądu Kulturalnego“

Wielka Październikowa Socjalistyczna Rewolucja otworzyła przed pracującymi Kraju Rad szerokie drogi rozwoju w dziedzinie kultury. Komunistyczna Partia rozwijała usilnie wśród pracujących nieugazowane pragnienie wiedzy i kultury. Komunistom stać się można tylko wtedy, kiedy człowiek wzbogaci swą świadomość poznaniem tych wszystkich skarbów, jakie stworzyła ludzkość — mówił wielki założyciel radzieckiego państwa i Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, W. I. Lenin. Od pierwszych dni po Rewolucji Październikowej nieustannie wzywał Partię i naród do nauki, podkreślając, że wiedza jest niezbędna dla zwycięstwa.

Niezmierznie wysoko podniósł się dzisiaj kulturalny poziom milionów mas radzieckiego narodu. Inteligencja stała się prawdziwie ludowa, są nią przedstawiciele pracujących, wychowanych i wykształconych przez radziecki ustrój.

Procesowi powstawania materialno-technicznej bazy socjalistycznej

go społeczeństwa towarzyszyła kulturalna rewolucja, zrodzona przez Wielką Rewolucję Październikową; owa rewolucja przeżyła się do utrwalenia i dalszego rozwoju wielkich zdobyczy Października.

Ogromny kulturalno-techniczny rozwój szerokiach mas pracujących radzieckiego miasta i wsi stworzył w latach planów pięcioletnich najróżnorodniejsze formy socjalistycznego współzawodnictwa, nowe, najbardziej postępowe metody pracy. Sprzyjało to w znacznej mierze przedterminowemu wypełnieniu planów gospodarki narodowej, szybszej przemianie ZSRR z kraju zacofanego i agrarnego w kraj produkujący, przemysłowy, posiadający potężny przemysł i potężną kolchozową gospodarkę wiejską, wyposażony w pierwszorzędą technikę.

W ostatnich latach osiągnięcia radzieckiego narodu w kulturalnym budownictwie wielokrotnie się powiększyły. Jest to rzecz zrozumiała, ponieważ postępowy rozwój socjalistycznego społeczeństwa — jest

niemożliwy bez nieustannego rozwoju kultury.

Radziecki system oświaty ludowej, ogarniając całe młode pokolenie, obecnie znajduje się w stadium stopniowego przechodzenia od siedmioletniego nauczania, do powszechnego średniego (dziesięcioletniego) nauczania. W bieżącym roku liczba kończących dziesięcioletnią szkołę średnią powiększyła się o ponad dwa razy. W porównaniu z 1953 rokiem. Bliski już jest ten czas, mówił tow. Malenkov na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR w kwietniu 1954, kiedy całe młode pokolenie i w mieście, i na wsi będzie brać udział w produkcji mającej pełne wykształcenie średnie.

Aby ocenić znaczenie tego faktu, warto przypomnieć, że w Stanach Zjednoczonych jest obecnie ponad dziesięć milionów analfabetów, że rokrocznie setki tysięcy dzieci nie mogą dostać się do szkół, których liczba jest bardzo niewystarczająca. Amerykańscy publicyści Ginsberg i Douglas O'Bry w swojej książce „o rozpaczliwej sytuacji

powszechnej oświaty w USA, noszącej znamienne tytuły „Niewykształcenie”, stwierdzają: „W ciągu kilku dziesiątków lat, świnia i kura miały więcej szans rozwoju niż miliony Amerykanów”. Komentarze zbiteczne...

W ZSRR oświata jest dostępna nie tylko dla całej młodzieży; również ludzie starsi podwyższają poziom swych fachowych i ogólnych wiadomości. W rozmaitych szkołach, kółkach, na kursach i w zawodowych zakładach naukowych utrzymywanych przez państwo. W Kurawieńskiej fabryce tkackiej, niedaleko od Moskwy, uczy się cały kolektyw: jedni kończą szkołę średnią, inni podwyższają swoje kwalifikacje, jeszcze inni uczą się w wieczornym technikum lub w fabrycznej filii tekstylnego instytutu.

W ostatnich latach wiele robotników i robotnic nie porzucając zawodowej pracy, zostało dyplomowanymi specjalistami — inżynierami i technikami. Takie rzeczy dzieją się w każdym niemal radzieckim zakładzie pracy. Nie tylko w mieście, ale i na wsi miliony pracujących łączą pracę z codziennym, systematycznym doskonaleniem się w rozmaitych zawodach, z podwyższaniem wykształcenia. Dlatego właśnie wśród radzieckich robotników i kolchoźników tak wielu jest nowatorów, twórców najbardziej postępowych metod pracy, dlatego nowe osiągnięcia nauki i techniki tak szybko przenikają do wszystkich przedsiębiorstw i kolchozów. W ZSRR kształci się w rozmaitych

dziedzinach ponad 57 milionów ludzi, jest to potężna siła w walce o dalszy rozwój narodowej gospodarki i nieustanne podnoszenie materialnego dobrobytu wszystkich radzieckich obywateli.

Socjalizm oddał pracującym wszystkie środki kultury, ułatwił i wzbogacił życie duchowe milionów obywateli. Książka, dawniej rzadki gość u robotnika i chłopca, teraz stała się stałym towarzyszem i wiernym przyjacielem każdego radzieckiego człowieka, który ma do swego dyspozycji ponad 380 tysięcy bibliotek. W ubiegłym roku wydano w ZSRR tysiące książek o łącznym nakładzie około miliarda egzemplarzy.

Socjalizm sprawił, że sztuka stała się własnością narodu. 880 teatrów, sal koncertowych i cyrków, około 60 tysięcy sal kinowych, 123 tysiące klubów dostarcza widzom ciekawych przedstawień, koncertów, filmów. Wzrost stopy życiowej i kultury pracujących ZSRR wyraża się dobitnie w świetnym rozkwicie ludowych talentów, w szerokim rozwoju twórczości samorodnej. W każdym zakładzie pracy, w każdym kolchozie są śpiewacy i tancerze, plastycy i aktorzy, którzy mogą się doskonalić w wybranej dziedzinie sztuki pod kierownictwem doświadczonych pedagogów. W corocznych przeglądach twórczości amatorskiej biorą udział miliony ludzi, a najlepsi i najbardziej utalentowani spośród nich występują na końcowym koncercie, na scenie Wielkiego Teatru w Moskwie.

Wszystkie dziedziny radzieckiej kultury, którą kocha naród, otoczone są troską Komunistycznej Partii i Rządu i choć tak są młode, rozwijają się pomyślnie.

Kultura kraju zwycięskiego socjalizmu ma już niemały wkład do skarbnicy światowego postępu. Najlepsze dzieła radzieckich pisarzy i kompozytorów, filmowców, plastyków, ludzi teatru, cieszą się międzynarodowym uznaniem. W artystycznej formie wyrażają one wielkie idee i uczucia drogie całej postępowej ludzkości. Jeśli zaś idzie o radziecką naukę, jej wybitne osiągnięcia dostatecznie charakteryzuje ten znamienity fakt, że Związek Rad jest pierwszym krajem na świecie, który obrócił energię atomową na pokojowe, przemysłowe cele.

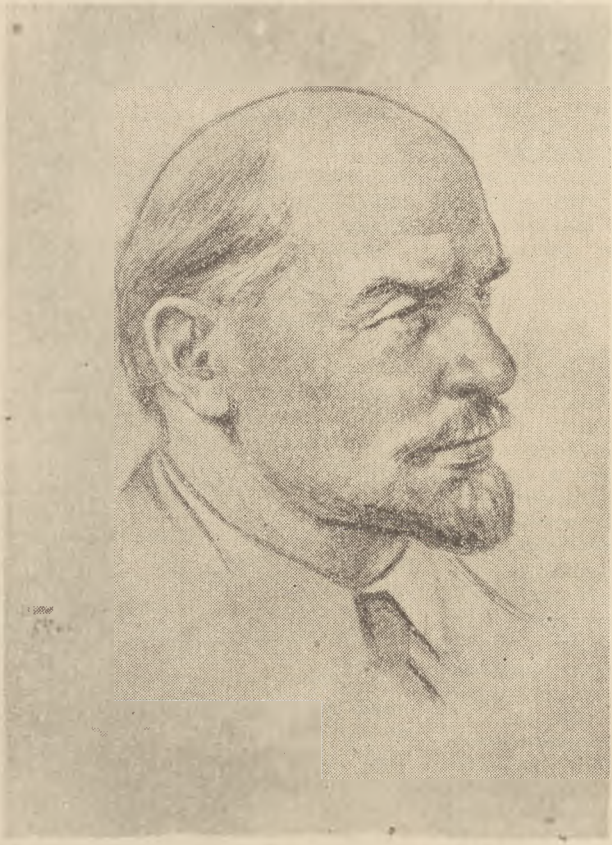
Organiczne obca wszelkim formom szowinizmu, przeniknięta duchem proletariackiego internationalizmu duchowa kultura radzieckich ludzi uważa za swą własność wszystkie trwałe wartości światowej kultury.

Im wyższy staje się kulturalny poziom radzieckich ludzi, tym bardziej wzrastają ich żądania, ich wymagania wobec pisarzy i artystów, plastyków i filmowców, wobec wszystkich pracowników kultury. Kultura socjalistyczna rozwijając się w warunkach krytyki i samokrytyki niezmienne idzie naprzód; pokonując niedostatki powiększa swe osiągnięcia dla dobra narodu w imię nowych zwycięstw sprawy komunizmu.

LENIN

w oczach współczesnych

JADWIGA SIEKIERSKA



ZUKOW M. — Portret W. I. Lenina.

W Związku Radzieckim nie raz słyszałam wypowiedzi, rozmawiałam z towarzyszami, którzy bezpośrednio stykali się z Leninem, słuchali jego przemówień, uczyli się od niego wprost. Niektóre z tych spotkań, rozmów o Leninie pragnę przekazać polskiemu czytelnikowi.

*

W swych wspomnieniach o Leninie Nadieżda Konstantinowa Krupskaja, żona Lenina, pisze o nim: „Włodzimierz Iljcz głęboko wierzył w instynkt klasowy proletariatu, w jego siły twórcze, w jego misję historyczną”. (Wspomnienia o Leninie wyd. ros. „Partizdat” 1933 r., str. 85).

Jego wiarę w klasę robotniczą wzmacniały stałe kontakty z robotnikami. Gdy Lenin był na emigracji, wczytywał się uważnie w korespondencje nadchodzące z Rosji, chciwie słuchał każdego działacza robotniczego przyjeżdżającego zagranicę. Lenin jak nikt inny potrafił wydobyć najważniejsze z rozmów z robotnikami. Te rozmowy i korespondencje były często bodźcem do wielu napisanych przez niego artykułów w „Iskrze”. Lenin rzeczywiście uczył się od mas.

Słyszałam w Moskwie po rewolucji starego działacza partyjnego, w młodości robotnika zakładów pułkowych w Petersburgu, opowiadającego o jego spotkaniach z Leninem i z Plechanowem za granicą przed II Zjazdem RSDRR.

„Policja carska była na moim tropie — opowiadał ów towarzysz — wyjechałam zagranicę. Miałem spotkanie się z Leninem, skontaktować się z redakcją „Iskry”. Marzyłem o rozmowie z Plechanowem i z Leninem. Powiodło mi się. U Plechanowa częstowano mnie kawą z ciastkami. Ale czułem się nieswojo, skrzepowany i przybity jego mądrością. Plechanow na początku mojej wizyty zaspalał mnie pytaniami o Rosji, o Pitrze, skąd właśnie przyjechałem. W gruncie rzeczy nie słuchał uważnie moich odpowiedzi. To mnie zmroziło. W pewnym momencie wtoczył jakąś uwagę i dalej snuł już swoje własne rozważania. Mówił dowcipnie, błyskotliwie. Poczułem, jak mi daleko do niego — wzrastało moje przynębnienie. Szybko się pożegnałem z gospodarzami. Po drodze myślałem sobie — to na pewno bardzo mądry człowiek, ale czy on potrafi zrozumieć naszego brata robotnika?

Wkrótce tak się złożyło, że zaciągnął mnie do siebie Lenin.

Nadieżda Konstantinowa częstowała mnie herbatą. Sam nie wiem jak to się stało, lecz ogromnie się rozgadałem i rozkrochmalilem. Jak też Iljcz umiał słuchać, aż przyjemność było mówić. Pamiętam — Lenin szczególnie interesował się ruchem strajkowym w Rosji. Podsuwałam mu różne pytania, zmuszając go do zastanowienia się — czy strajki, które wybuchły na tle ekonomicznym, przerzucały się na inne sprawy? Wypytywał szczegółowo o życie robotników w zakładach pułkowych, o warunki mieszkaniowe, o choroby, o naukę dzieci, o szkoły wieczorowe dla dorosłych.

Później, gdy czytałem w więzieniu „Co robić” Lenina, sprawiło mi wielką przyjemność, że w jego polenice z ekonomistami znalazłem ślady naszej rozmowy. Po tym już pierwszym spotkaniu z Leninem mocno odczułem, że Iljcz — to swój chłop, a Plechanow, choć to wielki teoretyk, ale trochę „barnin” (to znaczy pan).

Zapamiętałem dobrze to opowiadanie. Skojarzyłem go z tym, co pisała Krupskaja o Plechanowie, podkreślając dystans, który czuli robotnicy w zetknięciu się z nim i szczególnie leninowską zdolność zbliżania się z robotnikami, jego umiejętność słuchania i uczenia się od prostych ludzi”.

*

W 1934 r. jechałam z Moskwy do Baku z referatem o 15-leciu Międzynarodówki Komunistycznej.

Droga długa, znajomości w pociągu zawierają się łatwo. Rosyjska wylewna serdeczność (mówiąc po rosyjsku tak zw. „zaduszewność”) szczególnie temu sprzyja. W naszym przedziale jechał wojskowy

tworzenia kolektywu nawet z czterech ludzi radzieckich przypadkowo zbliżonych do siebie podróżą w jednym wagonie.

Po zdawkowej wymianie zdań o pogodzie i krajobrazie rozmowa stała się ciekawa. Nasz wojskowy towarzysz okazał się uczestnikiem i bohaterem wojny domowej. Wiele z mijanych stacji na południe od Moskwy nasuwało mu wspomnienia przeżytych walk. O tu — wskazywał nam ręką — atakowaliśmy przeciwnika; albo — w tym miejscu przedzieraliśmy się z okrażenia białych. Szybko zmieniał się krajobraz i szybko przewijały się w naszej wyobraźni obrazy wojny domowej plastycznie, żywo odtwarzane przez współtowarzysza podróży. Opowieść swą przepłatał soczystymi słówkami z doniecko - ukraińskiej gwary (pochodził z nad Donu). Opowiadanie jego mieniło się barwami, pachniało ziemią, po której jechaliśmy. Jak na taśmie filmowej nadchodził jeden epizod na drugim. Przejeżdżaliśmy Rostow nad Donem. Zbliżaliśmy się do stacji „Mineralne Wody”. Piotr Siemionowicz — bawiący nas rozmową — wpadł w chwilowe zamieszanie, błędząc okiem za uciekającym krajobrazem. Po pewnej chwili odchrząknął i odezwał się „Tyle wam tu nagadałem, a nie powiedziałem najważniejszego — spotkania z Leninem, które dla mnie było wielkim przeżyciem. W 1919 roku do naszej jednostki wojskowej, rozkwaterowanej wówczas w Moskwie, przemawiał Lenin przed naszym wyruszeniem na front. Lenin ścisnął mi dłoń. Pamiętam ciepły, serdeczny błysk w jego oczach, mocny uścisk, dźwięk jego głosu, żywe gestykulacje, przechylanie głowy to w lewo, to w prawo gdy przemawiał do nas. Co najbardziej mnie wtedy chwyciło? Gorąca mowa Lenina, jego wygląd zwykłego człowieka i setki naszych żołnierskich twarzy pytających w jego słowa — to wszystko stopiło się w jedną całość. Czuliśmy, że Lenin mówi to, co każdy z nas myśli i czuje. — Głośno, wypowiada nasze utajone pragnienia. Po każdym zdaniu Iljcz odkrywał mi jak gdyby nowy świat, al- był to świat naszych własnych spraw dobrze przemysłanych, jasno wyrażonych, chwytających za serce. Po wystąpieniu Lenina jeden Ukraińiec z rozgونیonym wzrokiem powiedział: „Wiecie chłopcy, to jakbym słuchał własnej spowiedzi — skąd on wie tyle o nas?”. Z przemówienia Lenina pewne jego słowa mocno utkwiły mi w pamięci, jak pewne twarze na całe życie zapamiętały. Żle mówię, nie tylko zapamiętałem to, co mówił Lenin, ale jego myśli zawazyły na moim postępowaniu.

Jestem Kozakiem z nad Donu. Wicie dobrze, ile kłopotu sprawiły władzy radzieckiej w pierwszych latach po rewolucji tradycje „przywilejów” kozackich, utrwalone przez carat. Lenin o tym wspominał. Gdy Lenin mówił o psychice chłopca, o trudności i konieczności przekonania go — przeniosłem się myślą do własnej stacji. Przytaknąłem sobie w duchu — jego słowa, to była święta prawda — jakby o nas była mowa. Z tego, co mówił Iljcz, mocno utkwiło mi jedno — aby zbudować sprawiedliwe życie — tego ludzie uczą się nie tylko z książek. Socjalizm zdobywa się w walce. Konieczne i ciężkie nieraz doświadczenie mas toruje drogę do zwycięstwa socjalizmu. Do poszczególnego człowieka można trafić pukając go jego głowy najlepiej przez jego własne doświadczenie, przeżycie.

Wicie przecież, że podczas wojny domowej nasza Armia Czerwona na porażkach uczyła się gromić wroga, była żywym wcieleniem rewolucji. Walczyliśmy, agitowaliśmy w różny sposób za Władzą Radziecką. W dosłownym tego słowa znaczeniu byliśmy autorami i aktorami własnego dramatu. Budziłyśmy zapal naszymi zwycięstwami i żywym słowem artystycznym. Nie brakowało wśród nas samorodnych poetów, aktorów, agitatorów i nawet „profesorów” — uśmiechając się dodał Piotr Siemionowicz.

Słuchając Lenina i czytając jego dzieła nauczyłem się od niego, że agitować, przekonywać ludzi wa-

hałających się, a zwłaszcza chłopów, nie można przy pomocy ogólnych prawd — to nie osiąga skutku. Nasz rosyjski chłop nie lubi gładkich jak pacorki podobnych do siebie słów — to go nie bierze. Wpadało mi nie raz na froncie być komisarzem — rozumiecie, że wtedy ciężar pracy polityczno - wychowawczej spadał na moje barki. Trzeba było nie tylko zapamiętać rysy twarzy setek czerwonoarmistów, ale znać też i skazy na ich duszy, rozgrzyść charakter każdego, wiedzieć, co kogo boli. W trudnych wypadkach, szukając drogi do naszej braci żołnierskiej, przekonałem się, że każdy niemal przeżył coś ważnego, jakiś wstrząs, który zaważył na jego losie, na charakterze. Wiedząc o tym można było znaleźć drogę do człowieka. Dobry komisarz, to jak dobry pianista — uderza we właściwy ton. Na froncie żywe było zainteresowanie się sytuacją międzynarodową. Przypominacie sobie, to-

warzysze, że w okresie wojny domowej żyliśmy bliską perspektywą rewolucji światowej. Każde przemówienie, każdy wiecz kończyły się wtedy słowami „Niech żyje rewolucja światowa”. Pamiętam, że u mnie w pułku nawet niepiśmienni dopytywali się, kiedy proletariaty przejdzie burżuazję w innych krajach. Ileż ofiarności, bohaterstwa rodziło się z poczucia wielkości naszej sprawy, z tego, że zwykły czerwonoarmista, marynarz czuli się żołnierzami i pionierami rewolucji światowej.

Przepraszam, zboczyłem z tematu. Miałem wam opowiedzieć, jak Lenin, jego słowa pomagały mi w czasie wojny domowej.

Opowiem wam co mi się przydarzyło własnie niedaleko od stacji „Mineralne Wody”, w stolicy obok Leninu, jego słowa pomagały mi w czasie wojny domowej.



KAMIENIARZE

Prześniłem sen przedziwny. Jak gdyby tuż przede mną
Dolina niezmierzona rozwarła się do dna,
A ja łaniczkiem skutny, pod skałą stoję ciemną
I granit jej olbrzymi unosi się nade mną,
A obok, mnie podobnych, postaci ludzkich śma.

Każdemu z nas cierpienia brudami twarz poryli,
I tylko żar miłości goręje nam spod czoł,
Łanicuchy niby żmije nam ciała okreciły,
A grzbiety utrudzone ku ziemi się schyliły,
Jak gdyby jakiś ciężar straszliwy zgiął je w dół.

A każdy z nas w swym ręku miał młot żelazny, ciężki,
Gdy nagle zagrzmiął w górę połyżny głos jak grom:
„Młotami bijcie w skałę! I niechaj żadne kłęski
Nie cofną was z tej drogi. Ni głód, ni żal ni męski,
Bo wam jest przeznaczone tę skałę rozbici w złom!”

I wszyscyśmy jak jeden podnieśli ręce w górę,
I cios tysiąca młotów w granitach czarnych grzmiał,
W tysiące stron pryskały odłamki skal pod chmury
I młoty rozsadały skalistych złomów mury,
I raz po raz grzmociły w kamienne czoła skal.

Jak łoskot wodospadu, jak głuche dział wystrzwały,
Tak nasze młoty grzmiały ciosami raz po raz,
Zdobywał pędz z pędzią wysiłek nasz wytrwały,
I chociaż niejednego ranili ostrze skały,
To niec by nie zdołalo postrzynać na marszu nas.

I każdy wiedział dobrze, że sławy nie zdobędzie,
Ważętności nie zaskarbi za swój katorżny trud,
Że wtedy ludzom wolnym ta droga służyć będzie,
Gdy my ją przebijemy i wyrównamy wszędzie,
Gdy nasze kości tutaj spopieli żar i chłód.

I nigdy myśmy chwały pośmiertnej nie pragnęli,
Nie z dumnych bohaterów wywodzi się nasz ród.
O nie, my niewolnicy, co dobrowolnie wzięli
Na siebie obowiązek. O wolności bój podjęli,
Złożyli dań ludzkości — nasz kamieniarski trud.

I wszyscyśmy wierzyli — swoimi to rękami,
Zwalimy czarny granit, zetrzemy skały ślad,
Że własną krwią i potem i kośćmi i ciałami
Gościniec ubijemy, że wkrótce tuż za nami
Radosne życie przyjdzie i opromieni świat.

Wiedzieliśmy też dobrze, że tam, w dalekim świecie,
Na zawsze porzuconym dla znoju naszych rąk,
Wciąż płyną tylko za nami, zniekanych żon i dzieci,
I że nie tylko wróg nasz zniekaniwieś do nas nieci,
Lecz nawet i przyjaciel nas wyparł się i zląkł.

Wiedzieliśmy niestety i dusza nas bolała,
I każdy w swoim sercu tę krzywdę mocno czuł,
Lecz ani łzy, ni rozpacz, ni ból piekący ciała,
Ni klątwa nas od czynu powstrzymać nie zdołała,
I każdy bez ustanku w granity dalej kuł

I tak idziemy naprzód, w gromadzie jednej, skutci,
Złączeni świętą myślą, wciąż krusząc skalny głaz,
I niech nas przeklinają, niech świat w niepamięć rzuci,
Przebijmy prawdziwe drogi, wykleci i zaszcuci!
Dopiero po nas wejdzie dla wszystkich szczęścia brask.

Rok 1878

Przełożył: LEON PASTERNAK

*) Największy, po Tarasie Szewczence, klasyk literatury ukraińskiej, socjalista (1856—1916). Poeta, prozaik, dramaturg, publicysta. Autor wielu prac w języku polskim. Tłumacz Słowackiego, przyjaciel Elżby Orzeszkowej.



M. ZUKOW — Lenin przemawiający

Część z naszej jednostki wojskowej przez gwałtowne natarcie denikinowców była odcięta od swej bazy, ludzie bvił rozproszeni po chałupach, niektórzy ukrywali się w górach. „Mineralne Wody” znajdowały się w ręku denikinowców.

Nasza sytuacja wyglądała bardzo nieswoło. Ponadto nie byłem pewny swego gospodarza — czy nie zdradzi, czy nie sprowadzi w noc podstępne białych, którzy nas wyrzną w pień. Paskudne jest uczucie niepewności. Zawsze lepiej wprost patrzeć wrogowi w oczy. Za wszelką cenę chciałem wyjaśnić, z kim mam do czynienia. Po kolacji wciągnąłem mrukiwego kozaka do pogawędki. Postawiłem wódkę. Stary trochę się rozgadał; dowiedziałem się, że starszy syn był u Denikina — został zabity w potyczce z czerwonymi. Dwóch młodszych walczyło w szeregach Armii Czerwonej. W domu pozostały drobne dzieci. Dość typowa wówczas tragedia rodzinna w niejednej kozackiej zagrodzie — brat przeciwko bratu. Z kim też trzyma ojciec? — To było dla mnie ważne. Nie mogłem rozgrzyść starego mimo że „chmiel” rzucił mu się do głowy. W czasie naszej rozmowy Anitka, 9-letnia córka gospodarza, podeszła do mnie kroczkiem do ojca, lekko się obejrzała na mnie, szarpnęła starego za rękaw i cieniem dzieciennym głosikiem zniżając go do szeptu powiedziała, aby nazajutrz rano ojciec szykował konia z uprzężą do odstawienia na stację „Mineralne Wody” — jak nakazał kozacki jeśul z armii denikinowskiej. Usłyszawszy to stary kozak przestał panować nad sobą — oczy nalały mu się krwią, uderzył pięścią w stół: „Pokażę ja mu, sobaczynu, konia”. Milczałem. Pozwoliłem staremu wyładować swoją złość. Odetchnąłem z ulgą — wiedziałem teraz, na jakich strunach należy zagrać. W parę dni później — ryzykując własnym życiem, stary kozak uchronił mnie przed niechybną śmiercią z rąk denikinowskich żołdaków”.

Piotr Siemionowicz zaciągnął się mocniej papierosem i wpadł w zadumę oprowadzając wspomnieniami. Po chwili dodał: „Dobrze wtedy powiedział Lenin — nigdy tego nie zapomnę — w pracy, w ostrej walce politycznej poszczególny człowiek i cała klasa przez własne doświadczenie życiowe dochodzą do rozumu. Trzeba na własnej skórze doznać cięć, aby dojść do pewnych prawd.

Jaką niezwykle pouczającą choć krwawą szkołą była dla naszego kraju, szczególnie dla chłopstwa, dla moich braci Kozaków wojna domowa. Jaką głęboką rację miał Lenin, gdy uczył nas docierać do każdego człowieka, do mas przez ich własne doświadczenie. Ie w tym było leninowskie życiowe mądrość, znajomość ludzi, natury chłopca rosyjskiego.

Dłatego towarzysze, kipie złością, gdy napotykam w naszej propagandzie drukowanej lub mówionej martwe formułki, wyświechtane słowa, pozorną uczoność, daleką od spraw ludzkich. Zupełnie nie rozumiem niektórych sztywnych propagandystów nie dostrzegających żywego człowieka, nie interesujących się doświadczeniem, drogą życiową ludzi, do których przemawiam, piszą, których uczą. Po chwili namysłu Piotr Siemionowicz zakończył ze wzruszeniem: „Każdy z nas, uczestników Rewolucji, Wojny Domowej nasyłki prawdą leninowską, trzeba umieć ją przekazać, żeby dzieci nasze czuły żywego Lenina, a nie tylko znały go z książek”.

*

Znalazłam się latem w 1923 r. w Eupatorii na wybrzeżu Krymskim. Eupatoria słynie ze swej złocistej, wspaniałej plaży, obfitości słońca — wymarzony kurort dla dzieci. To też była tam moc dzieci, duża ilość sanatoriów dzieciennych.

W małym domku obok naszego sanatorium mieszkała rodzina młodszego brata Lenina — Dymitra Ulianowa (z zawodu lekarza). 9-letni Wittia (takie zdaje się miało imię) syn Dymitra i bratanek Lenina był w naszym sanatorium częstym gościem. Zaprzyjaźniłam się z Wittią — lubiłam tego żywego, szczupłego, rosyjskiego chłopca o piegawym nosku.

W rozmowach, spacerach i za-

bawach z Wittią jak igła magnesowa przyciągało mnie to, co od czasu do czasu mówił o „dziadzi Wołodzie” (to znaczy o Leninie). Wiadomo, że Lenin lubił dzieci, był przywiązany do swego bratanek. Potrafił w wolnych chwilach bawić się z Wittią „jak równy z równym”.

Zapamiętałam jedną rozmowę z Wittią podczas naszego spaceru łódką po spokojnym i łagodnym tego dnia Morzu Czarnym. Wittia był rozbawiony i rozchukany. Od czasu do czasu pozwalałam mu wiosłować — czuł się wtedy jak dorosły. Chłopak przeskakiwał z jednego przedmiotu na drugi, często nie kończąc nawet zdania, gdy jego uwagę przykuwały latające mewy lub wielobarwne meduzy.

Zaczęłam go prosić — powiedz, o czym rozmawiasz z „dziadzi Wołodzą”.

— Zaczekaj, muszę przypomnieć — marszcząc czoło i poważniejąc odpowiedział Wittia.

— Jak wyjeżdżałem na Krym, odwiedziłem dziadzię Wołodzie w Gorkach (wieś pod Moskwą, gdzie Lenin umarł). Powiedział dziadzi Wołodzie — mówią, że jesteś wielkim człowiekiem, wylumacz mi, co to znaczy... Wiesz, zaszotał wtedy ze mnie. Mówił mi, że bym nie zaprzął sobie głowy niepotrzebnym rzeczami. Zasmiał się i powiedział jeszcze, że nie wszystkim, co wymyslały dorosli, jest tak ważne, aby o tym rozmyślały dzieci. A później chytrze się uśmiechnął mrucząc oczy — o tak — pokazał Wittia — i spytał się mnie: „Czytałeś bajkę Puszki na rybak i złotej rybce”? — Naturalnie, czytałem — odpowiedziałem. — Pamiętasz staruchę, jak za dużo chciała, to wszystko straciła. Później dziadzia rozłożył śmiesznie ręce i powiedział: „Powstrzymaj swe zachcianki. Nie jestem taki mądry, aby ci na wszystko odpowiedzieć. Po obiedzie idź pobaw się z dziećmi. Zobaczysz, że one tak się nie mądrują jak ty”.

— A wiesz — dodał po chwili Wittia i „zmarzki” wyglądziły się na jego 9-letnim czołe. Jak czasem dziadzia Wołodzia bawił się ze mną w „fanty” czy też w inną grę i gdy pomylił się, a ja go na tym złapałem, śmiał się tak wesoło, tak wesoło, że ja też śmiałem się do łez. Ja się z nim czuję jak z kolegą — dodał z dumą Wittia.

Po chwili milczenia spytał mnie ścisłym głosem, oprowadzając niepokój: „Mówią, że dziadzia Wołodzia jest bardzo chory, czy to prawda, jak myślisz?”

Nieporadnie odpowiadałam: „Przecież leczą go najlepsi lekarze, pewnie się poprawi”.

Na horyzoncie nad uspokojonym morzem, zaróżowionym i gładkim jak tafla lustrzana, szybko zanurzała się w wodę ognista kula słońca. „Patrz, jaki śliczny zachód słońca!” — powiedziałam do Wittia, aby odciągnąć go od smutnych myśli widocznych na zniechęconym twarzy chłopca.

— Jutro pewnie będzie wiatr — zawyrokował Wittia — tak mówią rybacy — jeśli słońce zachodzi w czerwono — o właśnie jak teraz — to na pewno wroży wiatr.

Łódka przybiła do brzegu. Trzymamy się mocno za ręce. W milczeniu wracamy z Wittią każdy do siebie...

*

Stara gwardia bolszewicka, ci, którzy jak Lenin przemierzali całą więzienną, którym jak Leninowi dłużyła się noc syberyjska na zesłaniu, bądź też młodzież radziecka zahartowana w ogniu wojny domowej, po prostu partyjni i bezpartyjni robotnicy, chłopci, pisarze i uczeni — dojrzewali w promieniach leninowskiej nauki, rośli pod wpływem moralnej siły jego postaci i darzyli Lenina najgłębszym zaufaniem.

Wiedzieli, że Leninowi chodziło zawsze o dobro sprawy, o szczęście milionów ludzi. Dlatego tak promieniując jego postać w partii, w narodzie radzieckim i na całej kuli ziemskiej,



ALEKSANDER ORŁOWSKI — „Dwaj Kozacy w tańcu”.



PIOTR MICHAŁOWSKI — „Akt z karabinem i fajką”

WYSTAWA RYSUNKÓW POLSKIEGO W POZNANIU



HENRYK RODAKOWSKI — „Chłopiec przy studni”

Z inicjatywy Państwowego Instytutu Sztuki (który przyjął na siebie naukowe opracowanie imprezy) poznańskie Muzeum Narodowe zorganizowało, czynną już od paru miesięcy — wystawę pl. „Realistyczny rysunek polski XIX wieku”.

Wystawa jest na swój sposób pionierska. Przede wszystkim — zakresem: próbowano ująć w jeden syntetyczny przegląd cały XIX wiek polskiego rysunku, wykorzystując do tego celu starannie dobrane zespoły ośmiuset kilkudziesięciu rysunków z 16 zbiorów państwowych całej Polski. Takiego pokazu jeszcze nie było; jedyną właściwie analogicznie pomyślaną ekspozycją pod nazwą „150 lat malarstwa polskiego w szkicach” nie tylko, że miała miejsce 36 lat temu, ale oparta była wyłącznie o jedną prywatną kolekcję, piękną zresztą — D. Witke-Jezewskiego. Nowy jest na naszym gruncie również sposób ekspozycji: przy ekranach i gablotach zastosowano system ruchomych zasłon, aby uchronić niewrażliwe rysunki od szkodliwego działania światła. Nowe też jest, że tak starannie i poważnie pomyślaną ekspozycję (w najbliższym czasie odbędzie się w Poznaniu specjalna sesja naukowa poświęcona wystawie i problematyce rysunku)

urządzono „na prowincji”. Fakt ten ma swe poważne zalety sprowadzające się do „aktywizacji środowiska”, aby użyć modnej terminologii, ale ma i tę konsekwencję, że wystawa pozostała szerzej prawie nieznaną.

Układ wystawy, niedość zresztą dla zwiedzającego czytelny (tym więcej, że dotąd nie ukazał się żaden przewodnik czy katalog), uzależniony został w znacznej mierze od stojącego do dyspozycji pomieszczenia.

Rysunki zgromadzone w hallu Muzeum mają obrazować dwa zasadnicze tematy. Jeden z nich to historia polskiego wieku XIX (rozpoczynająca się datami trzecimajowej konstytucji i insurekcji Kościuszkowskiej, a zakończona rewolucją 1905 r.). Drugi temat — to szkola i artystyczny warsztat. Wreszcie tłem i ramami dla obu zagadnień są rozwieszone na ścianach oraz rozpoczynające i kończące wystawę w hallu gabloty z rysunkami o tematyce pejzażowej — krajoznawczej — „romantycznej” obraz Polski, jej krajobraz zabytkowy i ludzki.

W sąsiednich salach pokazano chronologiczny przegląd materiału wytypowanego przede wszystkim pod kątem wartości estetycznych. Na koniec, poza tymi salami, na podestu pierwszego piętra pomieszczono jako „aneks” zasadniczego trzonu wystawy — kilka gablot z rysunkami tak czy inaczej związanymi z teatrem (na ogół ciekawostki, bez związku z całą ekspozycją. W niektórych wypadkach na prymitywnym, dyktanckim poziomie).

Dobór zasadniczego, chronologicznego pokazu, przeglądu poszczególnych indywidualności (tu bardziej zdecydowanie przestrzegano kalendarzowych dat stulecia), uzależniony był od zasobności zbiorów państwowych, do których ograniczono się z zasady. Stworzyło to pewne luki. Gdyby w pewnych wypadkach sięgnięto do kolekcji prywatnych, lub gdyby zdecydowano się odstąpić parę razy od zasady i ekspozycję odbić litograficznie czy nawet mechanicznie, nie zabrakłoby np. w ikonografii 1905 r. prac najbardziej znanych i chyba najlepszych — popularnych cyklów Antoniego Kamińskiego.

Jeśli chodzi o dorobek poszczególnych artystów — to np. niedostatecznie i nietypowo pokazany został Stattler, brak na wystawie niereprezentowanych w państwowych zbiorach rysunków M. Gottlieba i M. Zaleskiego, pokazano zalety jeden rysunek Szermentowskiego, brak jest kompozycji historycznych Rodakowskiego czy studiów figuralnych Gersona. Zeby już zgrupować zarzuty i wymienić braki (w większości niezależne od woli i wielkiej wiedzy komisarza wystawy z ramienia PIS-u — Dr. J. Sienkiewicz) — zwrócić uwagę na niewystarczające mimo wszystko pokazanie Matejki (brak choćby jednego szkicu całej kompozycji historycznej), nieprzekonywujące reprezentowanie Aleksandra Gierymskiego i może Grottera.

Natomiast wielką, zasadniczą zdobyczą wystawy jest pokazanie ciągłości rozwojowej naszej sztuki ściślego związku wszystkich artystów, jednolitej i wyraźnej linii historycznej, którą — na dobrą sprawę — nie zawsze się dostrzega widząc raczej „zjawiska” wielkich indywidualności, które na ogół za granicą kształtują swój talent, a w kraju nie pozostawiają następów. Wystawa nakazuje gruntownie zrewidować ten pogląd, osadzając wyraźnie w historii polskiej sztuki i tych największych, którzy — wydawało się — wyrwali się z jej ram. Tak ma się sprawa z Aleksandrem Orłowskim. Mogło się wydawać, że tylko genetycznie związany był artysta ze swą polską ojczyzną, z której wyniósł ukształtowaną już sztukę na bruk i salony „Peterburka”

gdzie wtopił się całkowicie w rozwój malarstwa i rysunku rosyjskiego. Mogło się zdawać, że na naszym terenie jego świetna sztuka pozostała bezpłodna. Wystawa dowodzi czego innego: gromadzi cały szereg rysunków artystów czy to pozostających pod urokiem „naszego” malarza Orłowskiego, czy wprost kopiujących, trawestujących, adaptujących jego kompozycje. Widzimy to u Freya i Ślodzińskiego, Oborskiego i Kielasińskiego. Wojnarowskiego czy Kanewskiego (w jego studiach petersburskich). Amator Obmiński wprost dopuszcza się na Orłowskim plagiatu, niejaką Julią Dułską włączyła „Kozaków” artysty do swego salonowego „quod libet”. Ryszczewski i Słizien czerpią zeń wzory do swych satyrycznych rysunków. Związków i zależności od Orłowskiego jest więcej, stwarzają one własną uroczą, swoją linię i „nurt” prowadzący prosto do sztuki Piotra Michałowskiego. Ten ostatni artysta pokazany został na wystawie znakomicie. Reprezentowany jest bodaj największą ilością rysunków — aż 35. I to dobrze, wynosi się z poznańskiej wystawy głębokie przekonanie o jego mistrzostwie, jednym z największych na naszych ziemiach. Michałowski zaskakuje już w grupie rysunków warsztatowych i szkolnych, gdzie reprezentuje go nonszalanci w pozie, „akademicki” akt siedzącego mężczyzny z fajką w zębach i karabinem w ręce! Porwują jego wcześnie studia batalistyczne, napoleońskie; nieomyślnie, swobodne rysunki koni; pyszne studia z listopadowego powstania; rysunki chłopów, dzieci, zwierząt; karykatury i portrety. Rysunki są tak pewne, śmiałe, szerokie, iż sugerowały nieraz fałszywą opinię, że wyrosły tylko z bujnego, samorodnego talentu, nie potrzebującego rzetelnych studiów, przeciwnie leonardowskiej docieklivosti badacza. Na wystawie pokazano szereg pieczołowitych rysunków artysty: konskich muskulów i kości, upartych anatomicznych studiów, które prowadziły do wiedzy i swobodnego zamasyściści ręki. (Równie nieoczekiwane spotkanie mamy w rysunkach rozpedzonych koni Chelmonskiego, syntetyzowanych, ujętych w staranną kratkę do powiększenia i przeniesienia na płótno). Zachwycony Michałowski widz wystawowy odczuwa prawdziwą ulgę i wdzięczność, gdy wbrew wszystkiemu, co się dotąd sądziło, może artystę związać wyraźnie z polską sztuką. Nie tylko „mechanicznie”, tym, że jak się okazuje, uczył młodzieńca Józef Brodowski (wystawiono jego rękę olówkową portrecik 17-letniego Michałowskiego przy sztalugach z napisem „Piotr Michałowski, któremu ja dawał lekcje...”), ale przede wszystkim wyraźnym związkiem jego sztuki z doskonałą serią rysunków niedocenionego J. N. Głowackiego, popularnego w owych czasach krakowskiego profesora malarstwa. Jeśli dodamy do tego żywotność sztuki Michałowskiego podwójnie jego malarstwa u Smokowskiego, Tadeusza Brodowskiego czy Juliusza Kossaka — to zrozumieć wagę integralnego włączenia jego dorobku do malarstwa polskiego, do którego wniósł niewątpliwie i liczne wartości współczesnych mu Francuzów.

„Repolonizacja” sztuki Orłowskiego i Michałowskiego to chyba największa niespodzianka wystawy. Ekspozycja budzi żywe zainteresowanie plastyka i nasuwa wiele refleksji i uwag historykowi sztuki. Doprawdy — wystawa rysunku w Poznaniu jest jedną z najciekawszych imprez tego typu i winna być jeszcze tłumniej zwiedzana i szerzej spopularyzowana niż to ma dotąd miejsce.

ANDRZEJ RYSKIEWICZ



JERZY PUTRAMENT

I tyle. Dalszy ciąg tego powiedzenia w naszych warunkach jest zbędny. Jakoś tak się złożyło, że o zmarłych staramy się nie mówić wcale.

W warunkach kapitalistycznych bywa czasem wprost przeciwnie. Są tam ludzie, krytycy czy historycy sztuki, którzy zabierają się do oceny danego twórcy dopiero jak się temu ostatniemu zemrze. Jest w tej postawie duża doza oportunizmu: taki badacz nie ryzykuje już, że twórca zrobi jeszcze coś takiego, co obali ustalone właśnie przez badacza sądy o nim. W okresie, gdy malarstwo stało się na zachodzie przedmiotem spekulacji — zjawiali się tam kupcy, którzy wykupywali obrazy jakiegoś wybranego przez siebie mistrza i czekali jego śmierci. Dopiero wtedy — mając absolutną pewność, że są monopolistami w zakresie jego twórczości i że nie grozi im „dumping” z jego strony — rozpoczynali oni hulańską propagandę, mobilizowali „znawców” sztuki, dokonywali rewelacyjnego „odkrycia” zmarłego mistrza, po czym sprzedawali po dobrych cenach jego obrazy.

Brzydkie, odpychające zjawisko. Bardzo typowe dla stosunków kapitalistycznych, w których dzieło sztuki podlega wszystkim prawom handlarzkiego popytu i podaży, staje się po prostu towarem. To, co się dzieje u nas, nie jest bynajmniej typowe dla naszego ustroju, nie wypływa bynajmniej z jego istoty. Mimo to jest bardzo dostrzegalne, jak wszelka niesprawiedliwość.

W czasie wojny zginęło bardzo dużo naszych poetów, pisarzy, w ogóle ludzi sztuki. Byli wśród nich wybitni. Po wojnie czyniono pewne próby przypomnienia czytelnikowi o tym czy tamtym. Wyszło parę zbiorów — bardzo ciekawych, dosyć przypadkowych, niezwykle starannie przemilczanych przez krytyków i historyków literatury. Pawlikowska na swój pierwszy to-

mik pośmiertny czekała dziewięć lat. Czechowicz na pierwszy artykuł o sobie czekał aż lat piętnaście. Sebyla czeka dotychczas choćby na lada wzmiankę.

Nie mówcie mi tylko, że i jedna, i drugi, i trzeci cierpią za swoje metne ideologiczne biografie. Historia Edwarda Szymańskiego świadczy, że wcale tu nie o to chodzi.

Ten uzdolniony niezwykle poeta, dzielny człowiek, aktywny antyfaszysta i jednolitofrontowiec, zamordowany przez hitlerowców — ledwo w tym roku doczekał się jakiegos troche większego zbioru swoich wierszy. Po dziś dzień jednak czekać musi na jakieś obszerniejsze studium o swojej twórczości.

Sprawa wydania jego dzieł była przez całe lata po prostu kosmarem. W swoim czasie dosyć lekko-myślnie się nią zajęłem, sądząc, że w naszych warunkach tak oczywiste słuszna sprawa musi być szybko rozwiązana. Po paru latach dalem spokój. Okazało się bowiem, że cała potęga władzy ludowej w tym wypadku nie potrafiła przełamać paru prawniczych kruczaków, za którymi licho wie, co się kryło.

No, trudno. Nie można było wydawać Szymańskiego. Ale przynajmniej pisać o nim. On był, on należy do naszej historii literatury — i to do najpiękniejszego jej nurtu — nurtu rewolucyjnego.

Gdzie tam, kto tam ma głowę żebym się zajmował zmarłymi. Tuż z żywymi tyle kłopotów.

Wbrew pozorom, stosunek mój do naszych optywistów od historii literatury nie jest nacechowany antypatią. Wprost przeciwnie, bardzo im współczuję. Ich dola w naszej epoce z wielu względów godna jest pośmiewania.

Nigdy dotąd bowiem tempo historii nie było tak gwałtowne jak w ciągu ostatnich lat szesnastu. Od roku 1938 kraj nasz — a i cały świat zresztą — przeżył parę epok historycznych, z których każda — w innym czasie — mogłaby trwać całe dziesięciolecie, jeśli nie wieki.

Jednym ze skutków tego pośpiechu historii jest to, że teraz z kolelei muszą się spieszyć historycy. Co gorsza, w swojej robocie zetknęli się oni z tak dziwnymi problemami jak protokół dyplomatyczny, ka-

rierowiczostwo, ba, nawet zwykłe kumoterstwo.

Bo normalnie obiektem studiów historycznych są ludzie z dawien dawna umarli. Owszem, i z nimi czasem dokonuje się różnych sztuczek, ciąga się za włosy na lewo, na prawo, wypycha się naprzód czy chowa się w kulisach. Ale w takim postępowaniu — acz niemądrym i szkodliwym — nie ma przyjemniej tak niemilego odoru kumoterstwa.

Potrącenie przez nieważnego historyka Goszczyńskiego czy Malczewskiego nie zadzwonią ze skargą do KC, nie podbechcą możnych przyjaciół, co ważniejsza — nie zrewanżują się takiemu historykowi na najbliższej sekcji w Związku Literatów.

A tymczasem w dzisiejszym środowisku literackim tyłu jest takich, którzy należą jednocześnie i do historii — bo pisali przed szesnastu laty — i do współczesności — bo są, działają, zajmują różne, zauważają całkiem zasłużone, stanowiska.

I oto proszę, co za męka dla optywistów. Jak trudno mu w takim wypadku zamknąć się w wieży z kości słoniowej, zapomnieć o rozgwarze codziennego za X-mi a w postaci opisywanego przez niego widzieć fałd na jego szyi, co gorsza, zapomnieć o jego jak najbardziej dzisiejszych stanowiskach.

Mówi się, że historia kształtuje teraźniejszość. Znam takich, którzy się znakomicie tej historii za to rewanżują.

W humanitarnej praktyce wię-



Rys. J. Zaruba